

KAROLINA POLASIK-WRZOSEK  
*Instytut Wschodni  
Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza  
w Poznaniu*

## JAK HISTORYK POTYKA SIĘ Z METODOLOGIĄ HISTORII

„Kwartalnik Historyczny” opublikował obszerny artykuł recenzyjny Dariusza A. Sikorskiego pt. *Jak historyk potyka się o antropologię historyczną*. Zadebiutował on w roli recenzenta tekstu metodologicznego, tj. moich szkiców o antropologicznym rekonesansie historyka<sup>1</sup>.

Tekst pełen jest retorycznych pustych form, przesycony sprzecznościami i epatuje insynuacjami. Sikorski, jak postaram się wykazać, krytykuje mnie pochopnie. Nadto bezzasadnie atakuje autorów renomowanych prac. Odruchem mentalności Sikorskiego jest wydziwianie.

Ustosunkowanie się do wszystkich kwestii podejmowanych w artykule Sikorskiego nie jest możliwe. Czytelnik zapewne zauważy, ile komentarzy budzi nawet niezbyt obszerny fragment jego wypowiedzi. Podejmuję tylko te kwestie, które bezpośrednio dotyczą mojej książki<sup>2</sup>.

Mam nadzieję przekonać czytelników, że powyższa surowa opinia na temat artykułu Sikorskiego jest zasadna.

### Lekcja wyrównawcza z pisania recenzji

Utopijny skądinąd pomysł, aby ustosunkować się do wszystkich zaprezentowanych przez mojego krytyka opinii, bierze się stąd, że z wszystkimi nie zgadzam się zasadniczo. Nie podzielam skrajnie nieprzychylnych opinii o mojej książce ani pretensji skierowanych do mnie, choć

---

<sup>1</sup> D. A. Sikorski, *Jak historyk potyka się o antropologię historyczną*. Na marginesie książki *Karoliny Polasik, Antropologiczny rekonesans historyka. Szkice o antropologii historycznej*, KH 118, 2011, 3, s. 485–510.

<sup>2</sup> Jak mi wiadomo, w obronie postponowanej przez Sikorskiego teorii i metodologii historii stanął Wojciech Wrzosek, co zwalnia mnie z zadania obrony całej domeny badań.

*de facto* dotyczących dyscypliny, którą uprawiam. Nie zgadzam się także z zaprezentowanymi poglądami wtedy, gdy na marginesie mojej książki recenzent zajmuje się m.in. obszernym akceptującym przytaczaniem analiz krytycznych jednego z najbardziej głośniejszych dzieł historiografii XX w., *Montaillou. village occitan de 1294 à 1324*, Emmanuela Le Roy Ladurie (Paris 1975). I tu z owymi opiniami, jak i z Sikorskiego dla nich „z góry” zgodą, nie solidaryzuję się. Nie podzielam innych poglądów Sikorskiego poruszanych przy okazji.

Nie zgadzam się z Sikorskim nawet wtedy, kiedy chwali mnie lub moje przedsięwzięcie badawcze. Trudno w dobrej wierze przyjąć pochwały, gdy ich powody są trywialne i pozostają w jaskrawej sprzeczności z innymi zawartymi w recenzji opiniami, krytycznymi konkluzjami i wymową całości tekstu.

Już na wstępie swego artykułu, gdy cel, jaki jakoby sobie stawiam, pisząc książkę, uznaje Sikorski za „ambitny i wyjątkowo interesujący”, ujawnia miałość swej diagnozy (s. 486). Tę protekcyjną opinię wypowiada zapewne dlatego, że wprzódki imputuje mi sens mego przedsięwzięcia interpretacyjnego, pisząc: „Karolina Polasik podjęła się w omawianej książce przybliżenia antropologii historycznej historykom tradycyjnym” (s. 485).

W rzeczy samej tak sformułowany cel mojego przedsięwzięcia<sup>3</sup> zawdzięcza swej imaginacji, która pozwala mu zapewne wywieść go z własnej poniższej anachronicznej figury myślowej: „w takiej sytuacji cieszyć powinna — namawia do radości Sikorski — każda szerzej zakrojona próba przedstawienia problemu [— —], gdyż nie wszyscy historycy mają czas (i chęć), aby na podstawie analizy dość bogatego piśmiennictwa teoretycznego samodzielnie wyrobić sobie w tej sprawie pogląd” (s. 485).

To nic innego jak — wyuczony na gimnazjalnych lekcjach wyrównawczych — sposób zagajenia recenzji. Gdyby jednak brać go serio, to pytam, jak można cieszyć się „z góry”, „z każdej”, „szeroko zakrojonej...”. Ja — przepraszam za intymność — nie cieszę się „z góry” „z każdej [— —] próby przedstawienia problemu”.

Można oczywiście, nie czepiając się tego zwrotu, poczytać go za wyświechtaną konwencję, gdyby nie okoliczność, że tekst artykułu recenzyjnego wprost roi się od zarzutów o zaniechania, braki, niedoróbki w moim przedstawieniu problemu. W tym świetle określenia: „ambitne”, „szeroko

<sup>3</sup> Określenie „cel [mojej pracy — K.P.-W.] jest wyjątkowo interesujący” służy zasugerowaniu czytelnikowi, że piszący te słowa wie, co jest wyjątkowo interesujące w danym gatunku dyskursu. I wie, jakie cele są wyjątkowo interesujące? To konwencjonalne oświadczenie nie budzi zaufania w szczególności, gdy wypowiada je debiutant. Wyrażenie: „cel jest wyjątkowo interesujący” brzmi jak autokomplement wtedy, gdy Sikorski sam ów cel (wyjątkowo interesujący, *sic!*) sformułował.

zakrojone” i „wyjątkowo interesujące” pod adresem mojej książki brzmią fałszywie.

Nie zgadzam się z Sikorskim ponownie wtedy, gdy chwali mnie jak uczniaka za to, że nie umieszczam w bibliografii mojej książki prac nieczytanych. Przy okazji zwierza się, że „udawanie» w tym przypadku przyszłooby łatwo” (s. 510 — podkreślenie K.P.-W.).

Nie mam żadnego doświadczenia, aby orzekać, kiedy pozorowane przytoczenia czyni się łatwo, a kiedy trudno. Ja w ogóle nie zastanawiam się, łatwo, czy nie, byłoby cytować tekst, którego nie czytałam. Uznaję takie ewentualne postępowanie — skromnie mówiąc — za nieprzyzwoite, niepotrzebne i ambarasujące. Natomiast na seminarium, o którym od czasu do czasu Sikorski coś insynuuje, praktyki przytaczania tekstów bez ich znajomości były tępione już na etapie wczesnostudenckim.

Nie dość na tym. Nasz mediewista sam obnaża pochopność swoich twierdzeń wtedy, gdy w jednym miejscu chwalać mnie za to, że nie stosuję pozoranckich przypisów (s. 510), jednocześnie w innym wytyka mi, z zapalem złośliwca, że zacytowałam coś, czego nie czytałam (przyp. 32, s. 495).

Te protekcyjne i sztampowe pochwały to raczej wytarty chwyt retoryczny wedle recepty: rozpocznij od pochwały, a potem... I podobnie: zakończ dobrodusznie aktem recenzenckiej wspaniałomyślności, może się ktoś nabierze, że ten cały wywód krytyczny to „trafny i sprawiedliwy osąd”.

Tak jestem pewna, że się w niczym z Sikorskim nie zgadzam, że nie zgadzam się z nim już wtedy, kiedy twierdzi, że jestem historykiem<sup>4</sup>. Musiałabym nim być tylko dlatego, że mam dyplom magistra historii i stopień doktora w tzw. zakresie historii. Podobnie musiałabym uważać, że premier Tusk czy prezydent Komorowski są historykami, bo są magistrami historii. Nie uważam nawet, że Lech Wałęsa jest elektrykiem, choć pracował jako elektryk i zapewne miał stosowne uprawnienia do wykonywania tego zawodu. Na pytanie, kim jest Lech Wałęsa, mało kto odpowie, że jest elektrykiem<sup>5</sup>. Nie uprawiałam i nie uprawiam zawodu historyka, więc w moim przekonaniu, a i z perspektywy naukoznawczej nim nie jestem.

Nie jest też moja książka pracą *stricto* historyczną, o tyle nie jest, o ile konceptualizowanie w niej ma charakter metodologiczny.

---

<sup>4</sup> Od początku (od pierwszych słów tytułu artykułu recenzyjnego: *Jak historyk...*).

<sup>5</sup> Dla mentalności typu Sikorskiego kulturowy stan rzeczy ma przesądzony poprzez genezę sens kulturowy. Fenomeny te obdarzone są unieruchomioną istotą, są ahistoryczne, co dla historycznego myślenia jest po prostu katastrofalne. Potocznie mówiąc, takie coś jest, skąd się wzięło. Historycy tej proveniencji myślowej podpadają wprost pod analizy Marca Blocha, kiedy mówi on o fetyszu czy obsesji genezy, jakiej ulegają.

Nie zgadzam się z autorem obszernego tekstu na marginesie mojej pracy..., nie tylko wtedy, gdy mnie protekcjonalnie poklepuje po ramieniu, ale i wtedy, gdy mnie krytykuje, albowiem i jedno, i drugie czyni pochopnie.

### Interesowna pomyłka?

Jak już wiemy, Sikorski bierze mnie za historyka, myląc moją specjalność naukową. I to ja — jego zdaniem — jako historyk — „potykam się o antropologię historyczną”. A ja ani nie występuję w roli historyka, przynajmniej tak, jak tę rolę partykularnie rozumie Sikorski, ani też nie zmagam się z antropologią historyczną *tout court*. Szkicuję jedynie — jak to nazywam — antropologiczny rekonesans historyków. Uświadamiam jasno swój ograniczony zamiar czytelnikowi w tytule i we wstępie do książki.

Nie bacząc na to, Sikorski sądzi, że powinnam z pozycji historyka/mediewisty — ewentualnie, tradycyjnego historyka historiografii — zająć się całościową analizą prac, które są dla mnie tylko egzemplifikacją inspiracji antropologicznych w badaniach historycznych. Myli się grubo, gdy przyjmuje, że metodologia historii musi podszyc się pod historię właściwą i ustalać w trybie kontrolnym, czy ta ostatnia dochodzi do prawdy, czy nie.

Po tej błędnej identyfikacji zarzuca mi Sikorski na wielu stronach, że nie realizuję jego planu. Nie skupia się na tym, z czym ma do czynienia, lecz gorszy się, że nie ma do czynienia z tym, z czym chciałby mieć, tj. z realizacją własnych wyobrażeń.

Nie przyjdzie mu do głowy, że 1) nie piszę ani monografii Montaignou, ani bynajmniej twórczości Le Roy Laduriego jako reprezentującej nurt antropologii historycznej, ani ponadto — co najważniejsze — 2) nie konkuruję z Le Roy Laduriego badaniami nad życiem mieszkańców pirenejskiej wioski, u schyłku XIII i na początku XIV w., ani też tym bardziej nie piszę 3) historii antropologii historycznej. Usprawiedliwieniem obszernego tekstu Sikorskiego jest jedynie natchniona krytykanctwem wola opisanego tego, czego nie robię.

Można odnieść wrażenie, że to, co napisał, nie jest o mojej pracy. Jakby nie o nią chodziło. Jakby chodziło o nienapisaną przez Sikorskiego książkę o antropologii historycznej<sup>6</sup>.

---

<sup>6</sup> Wylizywanie, czego nie zrobiłam w swej pracy, brzmi jak konspekt pracy, którą chciałby napisać/przeczytać Sikorski. Tyle, że zazwyczaj w sytuacji recenzenta, który skupia się wyłącznie na tym, czego w pracy nie ma, mamy do czynienia z niewykonal-

Sikorski deklaruje, że nie widzi w dziele Emmanuela Le Roy Laduriego, Carla Ginzburga, ale i zapewne Arona Guriewicza i Jacques'a Le Goffa, przejawów realizacji strategii badawczej zwanej antropologią historyczną. Ani dzięki moim analizom, ani dzięki innym analitykom i historykom historiografii, ani sam — wprost w tych pracach — nie dostrzega śladów przynależności tych dyskursów do antropologii historycznej. Opinia ta upewnia mnie w przekonaniu, że w żadnej książce historycznej reprezentującej wedle opinii badaczy antropologię historyczną nie rozpozna on pracy z tego nurtu, ponieważ jest dyletanckim krytykiem jej uznanych wcieleń. Kryteria akceptowalności pracy historycznej brane z tej szkoły myślenia, którą reprezentuje Sikorski, nie pozwolą uznać żadnej pracy historycznej należącej do nieklasycznej historiografii — w tym antropologii historycznej — za udaną, poprawną, itp. Natomiast zaskakuje powierzchownością, głosząc, że widzi spełnienie programu antropologii historycznej w znanej pracy Karola Modzelewskiego *Barbarzyńska Europa*<sup>7</sup>.

Tekst Sikorskiego to krytykancka polemika ortodoksyjnego empirycysty z niezrozumiałymi dla niego kwestiami metodologicznymi. Te ostatnie pozbawia on sensu epistemologicznego, redukując je pochośnie do trywialnych zagadnień metodycznych. Tu też oferuje nam gołosłowne nawoływanie — demagogiczny dogmatyzm<sup>8</sup>.

### Strachy na lachy. Wydziwianie tradycjonalisty

Deklarację Sikorskiego co do statusu mojej pracy poprzedza takie oto jego *dictum*: „czytelnik przywiązany do tradycyjnej historiografii odetchnie z ulgą, gdy dowie się, że «moje [tj. K. Polasik — D. A. S.] analizy zjawiska antropologizowania historii [...] dowodzą, że mimo tak przemożnego wtargnięcia problematyki antropologicznej do historii, ta ostatnia nie przestała nią być. Powszechnie uważa się przecie, że są to dzieła [C. Ginzburga i E. Le Roy Laduriego — D. A. S.] czy nawet arcydzieła historyczne» (s. 129)”.

---

nym zadaniem przejścia od krytyki do konstruktywnej kreacji. W myśleniu takim zbyt wiele jest ujęte w konwencji, jak „nie”, za to skąpo w polu konstruktywnym, jak „tak”.

<sup>7</sup> K. Modzelewski, *Barbarzyńska Europa*, Warszawa 2004.

<sup>8</sup> Demagogicznym dogmatyzmem nazywa jeden z moich mistrzów stanowisko, które polega na otaczaniu nimbem oczywistości przekonań, które bynajmniej oczywiste nie są. Ponadto, gdyby owe przekonania próbować rozwijać poza status zaklęć, okazałyby się, że są one jedynie aktami wiary w owe dogmaty. Taki status mają dla mnie jakoby oczywistości, a w rzeczy samej dogmaty/ogólniki: „zwykły osąd historyka”, „kryteria i zasady typowe dla metody i krytyki historycznej”, „standardowa metodyka badań nauczana w kursach uniwersyteckich”. W kilkudziesięciostronicowym tekście czytelnik pewnie zauważy, że poza owymi przywołaniami niewiele więcej znajdzie.

Gdyby Sikorski pamiętał swój wywód umieszczony akapit wyżej, to zauważyłby, że cytuje tam moją opinię z wprowadzenia do książki, konstatującą, że „owe wpływy antropologiczne historia musiała oswoić, pozostając wierna swej tożsamości” (Sikorski, s. 486, u mnie, s. 8). Dlaczego więc, przeczytawszy zakończenie mojej książki, ma czytelnik — tropem Sikorskiego — „odetchnąć z ulgą”? Okazuje się, że mediewista poznański, czytając moją książkę, trząsał się z obawy o losy historii. Odetchnął z ulgą dopiero czytając zakończenie? Albo nie rozumie mojego wyводу, albo udaje zatroskanego o tradycyjną historiografię z powodu wymagowanych przez siebie zagrożeń. Wybieram wariant drugi.

Demonstrowana przez Sikorskiego obawa o losy historii jest w kontekście moich wyraźnych enuncjacji zwyczajnym wydziwianiem<sup>9</sup>. Inaczej musielibyśmy sądzić, że Sikorski serio obawiał się, iż historia przestanie istnieć lub zamieni się w antropologię historyczną. Czego tu należałoby się obawiać? Tak po prostu „z góry”, „nowego”, a może nie wiadomo czego?

Sikorski uspokaja strachy na lachy insynuacją, że na szczęście moje plany się nie ziściły. Nie ziściły się, bo ich nie było.

Takie w gruncie rzeczy proste zabiegi polemizowania z samym sobą pozwalają Sikorskiemu napisać kolejną stronę i na niezbyt uważnym czytelniku wyrzucić wrażenie, że jest tu jakiś ktoś szczerze zatroskany o losy historii i ktoś, kto nie jest zatroskany. W rzeczy samej mamy do czynienia z wydziwianiem.

### W sidłach krytykanctwa

Wskazałam już, że Sikorski kokietuje swego rodzaju konserwatywnym zatroskaniem o los historii tradycyjnej. Może jest tak dlatego, że każda silna inspiracja historiografii inną nauką czy jakąś dyscypliną naukową czy pozanaukową jest — dla Sikorskiego — powodem do manifestowania niepokoju? Sądzę, że ta ostatnia możliwość najlepiej oddaje jego stanowisko. Dowodzi tego cytowana już tu opinia: „Czytelnik przywiązany do tradycyjnej historiografii odetchnie z ulgą...”.

Pewnie wtedy odetchnie z ulgą, gdy tradycyjna historiografia pozostanie „tradycyjna”. Świadczy o tym cały akapit tekstu Sikorskiego, który rozpoczyna symptomatyczna diagnoza: „Antropolodzy historyczni nie wypracowali ani nie praktykują innej metodyki badań historycznych na poziomie źródłowym niż ta, która jest uważana za standardową i nauczaną w kursach uniwersyteckich” (s. 486).

---

<sup>9</sup> Wydziwianie to taki krytyczny zabieg retoryczny: najpierw imputuje się krytykowanemu jakiś pogląd, a następnie ironizuje na jego temat.

Teza ta jest sprzeczna ze zdecydowaną większością analiz historiograficznych ostatnich 35 lat, tj. publikowanych od czasu, kiedy pojawiły się pierwsze prace z nurtu określanego później antropologią historyczną, a także pierwsze o niej opinie historyków. Trzeba by nie rozważać i nie poważać niemal powszechnie żywionej opinii o istnieniu orientacji historiograficznej zwanej antropologią historyczną, aby tak apodyktycznie i głośno twierdzić o jej podstawach empirycznych. Jeśli dorzucimy do tego jego opinię, że klasyczne prace należące do orientacji zwanej antropologią historyczną nimi nie są („Wpisanie ich w nurt antropologii historycznej nie jest więc uzasadnione”, podsumowuje na s. 508 nasz recenzent), to prowadzi to mnie do zasadniczego pytania:

Jakie prace z nurtu historiografii zwanego antropologią historyczną dały asumpt Sikorskiemu, aby utrzymywać, że „antropolodzy historyczni nie wypracowali ani nie praktykują innej metodyki badań historycznych na poziomie źródłowym niż ta, która jest uważana za standardową i nauczaną w kursach uniwersyteckich”, skoro po wykluczeniu przez niego z tego gatunku kultowych dzieł nie wiadomo, jakie były (są) podstawą tej jego opinii?

Oto przykład uwikłań, jakie sam sobie funduje Sikorski.

### Uzurpacje doktrynera

Po omawianym fragmencie mamy taką oto deklarację recenzenta:

„Jeśli tak [tzn., tak jak ja twierdzę, że historia pozostała sobą pomimo naporu problematyki antropologicznej – K.P.-W.], to nie tylko wspomniane historiograficzne majstersztyki [mowa o słynnych książkach Le Roy Laduriego o Montaillou i Ginzburga *Ser i robaki* – K.P.-W.], ale i praca samej K. Polasik powinny zostać poddane zwykłemu osądowi historyka, wedle kryteriów i zasad typowych dla metody i krytyki historycznej [podkreśl. K.P.-W.]”.

Skąd Sikorski powziął pomysł, że jeśli książka jest historyczna, to powinna być poddana „zwykłemu osądowi historyka”? Czy nie wystarczy głosić jedynie, że może być poddana zwykłemu osądowi historyka? A skąd pomysł, że skoro musi być poddana „zwykłemu osądowi historyka”, to nie może być poddana osądowi szczególnemu, np. metodologicznemu czy historiograficznemu, czy innemu „branżowemu” oglądowi? Skąd pomysł, że wtedy, gdy w książce podejmuje problem dotyczący związków antropologii z historią i jako egzemplifikację/empirię dla tego zagadnienia biorę klasyczne prace historyczne z nurtu antropologii

historycznej, to powinienam je poddać całościowemu „osądowi historyka”? Jest jakiś katalog powinności i obowiązuje wszystkich?

Ponadto, jeśli tak było, jak sugeruje Sikorski, że trzeba poddawać pracę „zwykłego osądowi historyka”, to cóż znaczyłoby „zwykłego”? „Wedle kryteriów i zasad typowych dla metody i krytyki historycznej”?<sup>10</sup> Pewnie Sikorski sądzi, że to wszyscy wiedzą, bo to jest ta „metoda, która uważana jest za standardową i nauczana w kursach uniwersyteckich” (s. 486, gramatyka Sikorskiego). Tak się powiada wtedy, gdy za ogólnikiem nic konkretnego, usystematyzowanego nie stoi.

Dokonując „zwykłego osądu historyka”, powinienam, zdaniem Sikorskiego, interpretując casus wsi Montaignou, sprawdzić, czy Le Roy Ladurie właściwie interpretuje źródło. Oznacza to podjąć się roli mediewisty. Mało tego, wedle naszego recenzenta, także zadań źródłoznawcy. Co więcej, specjaliści od świata myślanego w języku d’oc, i to zapisanego w ówczesnej łacinie zdeterminowanej intencjonalnością przesłuchujących, przy czym łacinie przefiltrowanej przez procedurę brudnopis/czystopis, itd., itp. Miałam się podjąć tego zadania? Miałam wystąpić w konkurencji z mediewistami, specjalistami od pogranicza francusko-hispańskiego XIII/XIV w.?

Sikorski, po kilkudziesięciu latach od ukazania się *Montaignou*, biorąc w ciemno dawne i najnowsze opinie krytyczne o tym dziele, sam nie wnosi do tej krytyki niczego nowego. Oczekuje natomiast od innych, między innymi od Jerzego Strzelczyka, oczywiście także ode mnie, że nie dość, iż odczytamy weryfikująco owo źródło, z którego korzystał Le Roy Ladurie, ale i oszacujemy, jak się owe „dosłowne” treści mają do „rzeczywistych” stosunków we wsi lub w jakiej relacji do siebie pozostają protokolarne zapisy inkwizycji do myśli Menocchia.

Nie analizowałam *Montaignou* z perspektywy nauk pomocniczych historii czy metodyki badania historycznego ani, nie daj Bóg, z punktu widzenia mediewisty. Z tych perspektyw interpretując, wypowiedzieli się już specjaliści i nadal będą się wypowiadać, dopóki książka ta będzie ważna dla historiografii światowej<sup>11</sup>. Sikorski dołączył do krytyków *Montaignou* w roli kibica po 37 latach od jej ukazania się. Tak jak całe pięć lat zajęło mu myślenie na marginesach mojej książki, tak „zakończoną już” — wedle niego oczywi-

---

<sup>10</sup> „Zasady typowe dla metody i krytyki historycznej” — pisze ot tak nasz badacz. Pytam z ciekawości: chodzi o całość zwaną metodą i krytyką historyczną, czy całość składającą się z metody i... z krytyki historycznej. Przy czym oczywiście istnieją wedle Sikorskiego „zasady typowe dla”, bo są ponadto jeszcze, a to już przypuszczenie moje: zasady nietypowe dla metody i krytyki...

<sup>11</sup> Nie jest więc tak, jak sugeruje Sikorski, że dyskusja wokół niej została podsumowana w 1990 r. (s. 497).



ście – interpretację dzieła francuskiego historyka pozwolił sobie rozpocząć na nowo po dwudziestu dwóch latach.

Przygotował więc Sikorski, godny respektu tradycjonalistyczny sceptycyzm niegdysiejszych krytyków pracy o pirenejskiej wiosce swoim nihilizmem metodologicznym. Sam do tych argumentów niczego nie dorzucił, ale za to pochopnie orzekł, że nie jest to praca z gatunku antropologii historycznej. Zaserwował przy okazji czytelnikom etykieciarskie, ale za to radykalne opinie nie tylko o antropologii historycznej, ale i współczesnej historiografii i humanistyce.

Istnieją już od dziesiątków lat poważne i poważane dzieła metodologiczne, historiozoficzne i te z obszaru kwalifikowanej metodologicznie historii historiografii, które prezentują analizy nieufundowane na „zasadach typowych dla metody i krytyki historycznej”. Nie są efektem „zwykłego osądu historyka”. Są np. analizami *sui generis* filozoficznymi o tyle, o ile analizy metodologiczne są ze swej proveniencji epistemologicznymi! Mam dobre, bywa niedoścignione, wzorce takiego postępowania. Dlaczego więc miałabym interpretować wspomniane dzieła historyczne w duchu „zasad typowych dla metody i krytyki historycznej”? Czyżby to jakaś uniwersalna powinność?

### Pojęcie psa nie szczeka

Kolejna pomyłka Sikorskiego to teza, że skoro analizowane przeze mnie teksty są historyczne, to tekst je interpretujący (tj. mój) jest /w i n i e n być (uwaga!) także historyczny. I dalej, co dla Sikorskiego oczywiste: „powinien być poddany zwykłemu osądowi historyka” (podkreśl. K. P.-W.)<sup>12</sup>.

Zatem nie tylko prace przeze mnie analizowane powinny być 1) poddane „zwykłemu osądowi historyka” i to całościowemu, co już wiemy, ale i 2) moje ich interpretacje 3) powinny być/są historyczne, i one to w końcu, jako że takie są, 4) powinny być poddane zwykłemu osądowi historyka, np., tu, Sikorskiego (s. 486).

Wydaje się nieprawdopodobne, aby można było serio utrzymywać taki pogląd. To tak, jakby zakładać, że np. tekst teoretyka / historyka sztuki winien być dziełem sztuki i jako taki powinien być poddany diagnozie, która to ona sama dziełem sztuki też miałaby być... Piramidalna pomyłka... U jej

---

<sup>12</sup> W sytuacji, kiedy Sikorski nie czuje się kompetentny do oceny pracy metodologicznej, musi wmówić czytelnikowi, że praca moja jest historyczna. A dlaczego historyczna? Dlatego, że interpretuje się w niej prace historyczne!? Strach bierze, jak wyobraża sobie Sikorski humanistykę i tzw. myślenie naukowe.

podłoża tkwi przekonanie, że prace historyczne może analizować tylko historyk, interpretować rzeźbę rzeźbiarz, analizować politykę polityk, ale już nie politolog, a badać uzależnienia może tylko uzależniony, ale już nie psychoterapeuta, chyba że sam jest w okowach, i to nałogu, od którego sam jest specjalistą. Pojęcie psa nie musi czekać — zauważył Spinoza. Mało tego: wedle Sikorskiego interpretator rzeźby powinien w roli interpretacji zaoferować rzeźbę, aby mógł inny rzeźbiarz jako ocenę owej interpretacji coś wyrzeźbić.

Sikorski, szykując sobie alibi, aby odpowiedzieć na ewentualne pytanie, dlaczego bez kwalifikacji zawodowych zabiera się do recenzowania pracy metodologicznej, odpowiada: recenzuję ją, albowiem jest ona pracą historyczną (choć nie jest) i ja jako historyk poddam ją „zwykłemu osądowi historyka”.

Podobnie pod adresem Le Roy Laduriego Sikorski zdaje się suponować: skoro książka jest historyczna i w niczym nie przypomina dzieła z antropologii historycznej, to ocenię ją po prostu jako pracę historyczną, choć w zasadzie nie potrafię, bo się nie znam na empirii tej pracy. Co więc mogę zrobić: powiem wszystkim, że każdy jest w stanie odczytać źródło w jego sensie dosłownym, i stwierdzę, że Le Roy Ladurie i Ginzburg przeinaczają rzeczywistość badaną. Choć o tej rzeczywistości, poza prezentacją jej w pracach historyka włoskiego i francuskiego, nic nie wiem. Powiem czytelnikowi, że mogę ją jakoby odnaleźć w źródłach.

Jak konfrontować ową dosłowność źródeł z rzeczywistością Montaignou — nijak, bo egzotyczna łacina rejestrująca egzotyczny świat zaslania ją. Świat ten nie jest dany w nich i nie czeka gotowy. Źródła te nie narratywizują go wedle oczekiwań dwudziestowiecznych historyków, tj. wedle np. antropologiczno-historycznego katalogu pytań<sup>13</sup>.

Co więc pozostaje Sikorskiemu? Krytykować na oślep i byle co. Ginzburga i Le Roy Laduriego za antropologię historyczną, że jej nie ma w ich pracach, a mnie oczywiście za to, że interpretacja moja jest taka, jaka jest, bo jest czyniona na modłę metodologii historii.

Nadto trzeba — i tak czyni Sikorski — wypowiedzieć dużo słów dezawuujących, ostrych opinii, to publika wpadnie w podziw, jakim to on jest bezkompromisowym krytykiem. Publika i tak zapewne nie zechce, nie zdoła, a może nawet nie musi bliżej przyjrzeć się sprawie, a wrażenie „ostrej krytyki” pozostanie.

---

<sup>13</sup> Składowe tego rozumowania zostaną szczegółowo zaprezentowane poniżej.

## Kurioza metody krytycznej Sikorskiego

Przy okazji, Sikorski serwuje nam mądrość z zasobów „metody krytycznej”: „Każdy, kto miał nieprzyjemność bycia przesłuchiwanym, ma świadomość, że między tym, co zostało powiedziane i co chciało się powiedzieć osobie przesłuchującej, a tym, co zostało utrwalone w protokole ujmującym syntetycznie rozmowę z przesłuchującym, istnieje większa lub mniejsza przepaść. Trzeba podkreślić, że — używając współczesnej terminologii — protokół to co innego niż stenogram” (s. 503)<sup>14</sup>.

Z zasobów własnych/cudzych doświadczeń, powołując się na niezwykłą w żaden sposób wiedzę, o tym, czego „ma świadomość każdy, kto miał nieprzyjemność bycia przesłuchiwanym”<sup>15</sup>, wyprowadza Sikorski — szokującą swą odkrywczością — tezę o istnieniu „przepaści” między świadomością i wiedzą przesłuchiwanego a protokołem. Równocześnie w tym samym tekście postuluje odkrywanie dosłownego znaczenia protokołu? Oczywiście, zdaniem Sikorskiego w odkryciu dosłownego znaczenia tekstu filologicznie nastrojony mediewista ową — cokolwiek by powiedzieć — przepaść przekroczy. Czy też może nie przekroczy, pozostawi ową różnicę, przy czym raz to tekst potraktuje jako wiarygodny, raz też zdezawuuje go, bo będzie wiedział, co Menocchio myślał? A jeśli Sikorski ustali, że zeznający kręci, to wtedy „sens dosłowny tekstu protokołu” poprawi? Zasypie tę przepaść, bo wie, że ona jest? Ale skąd wie, jakiego rodzaju to jest przepaść i jak / czym ją zasypać? A to przecież każdy wie — „każdy, kto miał tę nieprzyjemność” — bo jakby miał przyjemność być przesłuchiwanym, to pewnie nie wie...

Oto kolejne kuriozum polemisty: „trzeba podkreślić, że — używając współczesnej terminologii — protokół to co innego niż stenogram”. Cóż za wyrafinowana przestroga! Do kogo skierowana? Do Ginzburga czy Le Roy Laduriego? A może dla czytelników „Kwartalnika Historycznego”? Czytelniku, gdy dostaniesz się na elitarne kursy uniwersyteckie, to dowiesz się o przepaści (mniejszej lub większej) między zeznaniami zaprotokołowanymi a tym, co przesłuchiwany chciał powiedzieć. Skąd o tym wiadomo Sikorskiemu? Stąd, że „każdy, kto miał nieprzyjemność być przesłuchiwanym...”. Już wiemy, skąd się biorą zasady warsztatowe i nauki zwolenników „zwykłego osądu historyka”?<sup>16</sup>

<sup>14</sup> To zapewne przykłady „zasad nietypowych dla metody i krytyki historycznej”, wspomniane w przyp. 10.

<sup>15</sup> A ten, kto nie miał tej nieprzyjemności bycia przesłuchiwanym, nie ma tej trywialnej wiedzy? Np. od tych przesłuchiwanym?

<sup>16</sup> Może jest to próba zaimponowania mądrością metodyczną metodologom? A może próba zasugerowania czytelnikowi, że ktoś, np. ja, nie wie o tym? A może

Po „zrozumieniu ich na poziomie filologicznym” (tj. tekstów źródłowych — K.P.-W.), co uczyniłby oczywiście Sikorski, jak każdy, kto rozumie np. nowoczesny angielski<sup>17</sup>, mielibyśmy bazę danych źródłowych, przy czym już nieistotne byłoby dla niego wtedy, jaka jest przepaść między myśleniem i zdarzeniami, jakie „faktycznie miały miejsce” w Montaillou, a relacjami o nich w protokołach. Dlaczego? Teraz, gdy głosi się doktrynę „dosłownego znaczenia tekstu”, to wszystko jest nieważne.

### Dwa przykłady wydziwiania

Na skutek takiej prostolinijnej strategii badania historycznego *gros* z tego, czego się dotknie Sikorski, przybiera postać wydziwiania. Trywializuje moje ujęcie, przypisuje mu absurdalny sens po to, aby je podważyć. Kilka przykładów z jego tekstu.

Sikorski odrzuca moją analogię między obserwacją uczestniczącą jako metodą badań antropologicznych a sytuacją badawczą, w jakiej znajduje się historyk o temperamencie antropologicznym w obliczu korzystania ze źródła, jakim są akta inkwizycyjne.

Główny kontrargument przeciwko mej analogii między sposobem postrzegania/narratywizowania Le Roy Laduriego a antropologicznym badaniem terenowym jest następujący:

„Obserwacja uczestnicząca w antropologii zakłada branie udziału badacza w życiu danej kultury, inaczej mówiąc, uczestniczenie w niej na różne sposoby. Tej metody nie da się adaptować do kultur minionych, gdyż nie ma już w czym «uczestniczyć»” — twierdzi Sikorski (s. 494).

Konia z rzędem temu, kto powie, o czym tu dyskutować z głosicielem tej tezy. Konia z rzędem temu, kto rozumie zastosowanie cudzysłowu wobec określenia „uczestniczyć” w tym zdaniu. Kto dopuszcza do rozważań serio zaprezentowane tu określenie „obserwacji uczestniczącej”? Sikorski poświęcił wiele słów mojej analogii między metodą obserwacji uczestniczącej a Le Roy Laduriego sposobem konceptualizowania świata i doszedł do wniosku, że błędnie ową metodę pojmuję. Oto sedno jego opinii: „Tej metody nie da się adaptować do kultur minionych, gdyż nie ma już

---

próba przypodobania się badaczowi nuworyszowi, który pomyśli: tak owszem, tak właśnie jest: protokół to nie stenogram, ma rację Sikorski...

<sup>17</sup> Sikorski podsuwa zwolennikom twórczości m.in. Le Roy Laduriego, w tym i mnie, kolejne wydania źródeł, na których opierał się lub nie, francuski historyk. W tym zaleca mi tłumaczenia na nowożytny języki, podkreślając, że łatwo wtedy będzie ustalić „dosłowne znaczenie” tekstu i m.in. zweryfikować błędy, np. Le Roy Laduriego. Proponuję — w imieniu Sikorskiego — Japończykom i Chińczykom, aby przetłumaczyli sobie na swoje języki te protokoły inkwizycyjne, np. z angielskiego i ustalili tak „dosłownie”, np. jaką wizję świata miał pewien młynarz z XVI w.

w czym «uczestniczyć»”. Czy można powiedzieć coś bardziej kompromitującego? Sikorski informuje czytelnika, że zakładałam w swej książce, iż Le Roy Ladurie przeniósł się do czasów biskupa Fourniera, aby odbyć obserwację uczestniczącą, a to, jak informuje czytelnika Sikorski, jest niemożliwe. Kompromitujące jest polemizowanie z krytyką, która posiłkuje się absurdem tylko dlatego, że nie rozumie, o co chodzi.

Podobnie Sikorski insynuuje, że zakładałam bezwzględną wiarygodność tzw. bezpośrednich świadków<sup>18</sup>. I tu podobnie — nie chce się Sikorskiemu zrozumieć tego, co czyta, więc sprowadza czytane do wersji, którą następnie krytykuje. Nigdzie niczego podobnego nie twierdzą ani Wojciech Wrzosek — według mnie — niczego takiego nie twierdzi<sup>19</sup>. Twierdzą, i tu za siebie, że bezpośredniość doświadczenia brana jest od zarania dziejów, w tym w historiografii, za źródło wiedzy pierwszorzędnej wagi. Poświadczenie świadka ma — oczywiście po sprawdzeniu jego zdolności do bycia nim, a więc wiarygodnego poświadczenia — szczególny status. Jasne, że Herodot za wiarygodne brał jedno, Tukidydes co innego, w czasach nowożytnych uwiarygodniano inaczej, a jeszcze inaczej dzisiaj. Jednak nacoczność zawsze w historiografii odgrywała szczególną rolę perswazyjną i dawała większą szansę na poświadczenie i perswadowanie prawdy. I tylko tyle twierdzą. Sikorski nie rozumie też metodologicznych, dotyczą one kwestii poznawczych, które są mu obce. Sprowadza on je do ewidentnych fałszów i wówczas mędrkuje nad nimi, informując czytelnika, że on oto wie, iż są fałszami.

Nie będę swych tez jeszcze raz tu przytaczać. Wiem, że można je przeczytać, bez kuriozalnych domniemań<sup>20</sup>.

---

<sup>18</sup> Tzn. Sikorski insynuuje, że ja uważam każdego świadka bezpośredniego za wiarygodnego. Czy można serio sądzić tak o kimkolwiek przy zdrowych zmysłach?

<sup>19</sup> Wrzosek twierdzi także, że klasyczna historiografia — w jego rozumieniu tego pojęcia — idzie tropem świata *visible*, ta zaś, która jest historiografią nieklasyczną w wariacie modernistycznym, często opowiada o świecie „konstruowanym”, tj. bywa znacznie częściej *invisible*, o zjawiskach niedających się jednostkowo doświadczać, a więc i poświadczać bezpośrednią obserwacją. Ostatnio pisał o tym w pracy: *O myśleniu historycznym*, Bydgoszcz 2009, s. 88–96. Prostudusznie coś Sikorskiemu przyjdzie do głowy i wydziwiał nad tym, symulując, że ktoś niby tak twierdzi.

<sup>20</sup> W szczególności na stronach 52–58 mojej książki przytaczam prominentne opinie wzmacniające moją tezę o analogii między badaniem terenowym/obserwacją uczestniczącą w antropologii a symulowaniem pozycji badawczej antropologa przez historyka, wtedy gdy historyk stawia źródła „w ogniu pytań” o proveniencji antropologicznej. Przytaczam przykłady idei antropologicznych i wypowiedzi badaczy optujących za takim rozumieniem podobieństwa między strategią poznawczą antropologii i rodzącą się strategią badawczą antropologii historycznej. Sikorski nie odróżnia operacji poznawczej od przekonania o charakterze ontologicznym, tj. tezy o tzw. niezbędności bycia w świecie badanym w trakcie np. badania terenowego.

## Zdarzeniowa koncepcja genezy

Sikorski nie rozumie, że czym innym jest tylko zajście zdarzenia, a czym innym dodatkowo niejako inicjowanie procesu czy tendencji przez owo zdarzenie. Oponuje przeciwko mojej (i bynajmniej nie tylko mojej) opinii, że nurt antropologii historycznej sprzysiężony z badaniami nad *mentalité* daje się dostrzec jako taki od połowy lat siedemdziesiątych XX w. Jako kontrargument przeciwko tej opinii wysuwa Sikorski dane o tym, że już grubo wcześniej ukazały się prace poświęcone wedle niego badaniom „światopoglądu”, który od ponad stu lat jest przedmiotem zainteresowań „tradycyjnych” historyków (podaje tu prace Heinricha von Eickena, z 1887 r., Gertrud Stahl z 1925 r. i Wernera Preisinger z 1939 r.). Nie odróżnia więc poszczególnych kreacji twórczych, choćby prekursorskich i znakomitych, od zjawiska zaistnienia orientacji badawczej jako stałej już praktyki poznawczej, jej upowszechniania się, instytucjonalizacji, przekładania na działania edukacyjne, etc.

Na przykład w literaturze przedmiotu za prekursorskie dla badań nad *mentalité* uznaje się inspiracje klasyczną antropologią brytyjską (np. w twórczości Marca Blocha, *Królowie Cudotwórcy. Studium na temat nadprzyrodzonego charakteru przypisywanego władzy królewskiej zwłaszcza we Francji i w Anglii*), antropologią i sinologią francuską z lat dwudziestych i trzydziestych XX w., ideami Luciena Lévy-Bruhla, Ernsta Kantorowicza, Norberta Eliasa... A jeszcze wcześniej Karla Lamprechta, Jacoba Burckhardta. Każda z tych prac ciesząca się większą sławą niż te wymienione przez Sikorskiego, w szczególności wśród humanistów francuskich, nie uruchomiła badań na skalę ponadjednostkową. I tu jest różnica między byciem autorem cenionej oryginalnej książki, czy koncepcji, a inicjatorem orientacji badawczej. Gdyby stosować rozumowania Sikorskiego, to początków antropologii historycznej trzeba by szukać u Herodota (tak zresztą czyni w znanym artykule J. Le Goff, pisząc o związkach historii z etnologią, ale związków tych nie myli z powstaniem nurtu historiograficznego zwanego antropologią historyczną), a już na pewno — początków antropologii historycznej — szukać można we wczesnej twórczości Blocha (patrz wstęp Le Goffa do francuskiego (Gallimard 1983), włoskiego (Einaudi Tascabili 1973, *introduzione di Carlo Ginzburg; 1989 Prefazione di J. Le Goff*) i polskiego (Volumen i Bellona 1998) wydania *Krółów Cudotwórców*).

Podobnie nie odróżnia Sikorski pojawienia się idei od jej rozpowszechnienia się w przypadku, gdy zarzuca mi nieznamość interpretacji nastania idei *purgatorium* w świadomości zbiorowej (przypp. 7). Czym innym jest prekursorstwo czy antycypowanie, a czym innym tendencja,

upowszechnianie, instytucjonalizacja, a więc zjawisko o wymiarze społecznym lub procesualnym charakterze, czym innym jeszcze badanie tej idei jako *signum temporis* przemian myślenia<sup>21</sup>.

Rozważając genezę antropologii historycznej, nie biorę więc pod uwagę nawet tak znaczących dla humanistyki francuskiej prac E. Franklina Frazier, Lewisa H. Morgana, Marcela Graneta, Louisa Gerneta, Emile'a Durkheima, Marcela Maussa, które współtworzyły dzieło Blocha, ani nawet kultowej pracy *Królowie Cudotwórcy*<sup>22</sup>. Wiedząc o tym — i o wielu jeszcze innych budujących klimat intelektualny lat siedemdziesiątych XX w. poprzedzających je zjawiskach — nie myślę ich z pojawieniem się nurtu badań historiograficznych. Nie utożsamiam prekursorów z genezą procesu. Jako czas powstania antropologii historycznej przyjmuję okres od połowy lat siedemdziesiątych XX w., kiedy lawinowo powstają prace z tego ducha... I nic tu po pracach spoza kontekstu francuskiego, bo antropologia historyczna to produkt francuski. Wymienione przez Sikorskiego prace z kręgu anglosaskiej tradycji nie były Francuzom znane (w tym ani Le Roy Ladurieu, ani Ginzburgowi) w czasach, gdy zaczynali praktykować swe prace z nurtu antropologii historycznej, historii mentalności czy mikrohistorii. Nie tworzą one ciągłej praktyki historiograficznej z analizowanymi przeze mnie pracami. Nie miały wpływu na historiografię francuską. Nie znaczy to bynajmniej, że później nie stały się znane i cenione, w tym np. przez prace Nathalie Zeman Davies czy Roberta Darntona, który przyznaje, że

---

<sup>21</sup> Ową przemianę w strukturze *mentalité* określał mediewista francuski skrótem: „z niebios na ziemię”, jako przejaw zeświecczania się myślenia ludzi przełomu XIII w. Tu o to chodzi, a nie o śledzenie idei pojawienia się tak w ogóle. Już na studiach byłam w sporze z mediewistką, która twierdziła, że dzieło Kopernika *De revolutionibus* zmieniło myślenie ludzi tuż po swym ukazaniu się. Na moje pytanie, ilu jemu współczesnych przebudowało swoją wizję kosmosu i miejsca w nim Ziemi i jak to możemy potwierdzić, w odpowiedzi zarzucała mi złą wiarę i złe wpływy metodologów (tu zaś m.in. Jerzego Topolskiego i W. Wrzoska) na moje myślenie. Niemniej nie potrafiła mi Profesor odpowiedzieć, jaki był zasięg rewolucji mentalnej, którą głosiła, i w szczególności, jak to ustalono, że owa zmiana już wtedy miała charakter epokowy. Później protestowałam jeszcze raz, gdy wystawcy aktu powołania Uniwersytetu Jagiellońskiego przypisano rolę twórcy uniwersytetu. To taka różnica w sposobie widzenia świata. Nie biorę aktu manifestacji idei i deklaracji prawnej za instytucjonalne spełnienie się / dokonanie się w praktyce idei uniwersytetu. I jeśli upewnił mnie w trafności także takiego myślenia J. Topolski, a więc historyk i metodolog, to może dobrze? W każdym razie uzasadnił w taki sposób, że mnie przekonał.

<sup>22</sup> Taką tezę znajdujemy w znakomicie udokumentowanej opinii Le Goffa: „wielką nowością jest to, że w *Królach Cudotwórcach* Marc Bloch staje się antropologiem — jest on więc ojcem rozwijającej się dziś antropologii historycznej” — M. Bloch, *Królowie cudotwórcy. Studium na temat nadprzyrodzonego charakteru przypisywanego władzy królewskiej zwłaszcza we Francji i w Anglii*, słowo wstępne J. Le Goff, Warszawa 1998, s. 30 (wstęp z 1983 r.).

ważny dla niego był Clifford Geertz. A prace wspomnianych historyków amerykańskich, pracujących głównie na materiale źródłowym francuskim, do klasyki gatunku należą. Prawdopodobnie z historiograficznego ducha są bardziej francuskie niż amerykańskie.

Generalnie uważam, że interpretacje genezy są czynione *post factum* i od tego, jak kto widzi istotę zjawiska generowanego, zależy, ku jakiej genezie ma predylekcję. Interpretacje genezy są w tym sensie — jak się powiada — aposterioryczne.

### Bezpodstawne pouczenia

Przy okazji Sikorski upomina mnie, że poświęcam zbyt wiele miejsca problematyce *purgatorium* jako przykładu idei rozpracowywanej w duchu antropologii historycznej. Poświęcam tej kwestii niecałą stronę, ale zdaniem oceniającego jest to powód, aby uczynić mi przytyk. Pewnie „zwykły osąd historyka” wyznawany przez mego polemistę zawiera spis milionów kwestii wraz ze wskazaniem, ile miejsca powinno się im poświęcać. W tym spisie sążnisty tom Le Goffa o narodzinach czyśćca to tyle stron, ile trzeba, ale kilkanaście wierszy napomknięcia na ten temat na ponad 130 stron tekstu to dla normodawcy Sikorskiego zbyt wiele.

Zdaniem Sikorskiego często cytuję książkę Wojciecha Wrzoska (s. 489). Naprawdę cytuję pięć razy, dwa jego teksty. Sikorski pewnie wie ze wspomnianego spisu, ile to razy należy cytować Wrzoska w niedługiej książeczce, podobnie jak przekonywał, że wie, kiedy łatwo cytuje się prace nieprzeczytane. Sam zaś w swym artykule przywołuje tegoż Wrzoska cztery razy.

W innym miejscu najpierw pisze, że rozdział mojej książki oparty jest na ustaleniach n i e m a l w y ł ą c z n i e (podkreśl. K.P.-W.) W. Wrzoska i Ewy Domańskiej, a dwa wiersze dalej, że „j e d y n i e” dwa podrozdziały w nim są przeze mnie „samodzielnie uwypuklone”. Owe podrozdziały to już, jak się okazuje,  $\frac{1}{3}$  rozdziału. Raz insynuuje się, że nie wychodzę poza, a za chwilę okazuje się, że jest jednak coś „poza”, i to, co jest poza, to „jedynie”  $\frac{1}{3}$ . W swoich pracach Sikorski pewnie „samodzielnie uwypukla więcej niż  $\frac{1}{3}$ ”, i to zapewne „dosłowne znaczenia tekstów źródłowych” uwypukla.

Przy okazji dodam, że żenująca jest praktyka krytykowania z użyciem zwrotów w rodzaju: „autorka widać nie wie...”, „autorka nie zna zapewne...” itp. formułowanych w trybie donosu. Nie istnieje dla Sikorskiego różnica między „zna, ale nie cytuje”, a „nie cytuje, bo nie zna”. Przecież są jeszcze sytuacje w rodzaju: „zna, ale nie cytuje, bo nie jest to niezbędne dla prowadzonej argumentacji”, nie mówiąc o okoliczności: „znam, ale



nie cytuję, bo autora nie respektuję jako źródła zarówno informacji, jak i opinii”.

Dla poznańskiego recenzenta istnieje tylko trop myśli następujący: jeśli nie cytuję, to nie zna. Stoi za tym oszałamiająca przesłanka: cytuj wszystko bez względu na okoliczności — i jak już wiemy — także to, czego nie czytałeś. Takie są standardy dogmatycznego historyka, który nadto myśli, że są one powszechne. Owa przyświecająca historykowi lat minionych utopia zupełności czy wyczerpywalności źródeł i literatury przedmiotu bierze się z przekonania, że da się osiągnąć ideał pełności (tj. wykorzystać wszystkie źródła i całą literaturę, i to raz na zawsze). Towarzyszy temu przeświadczenie spotykane tu i ówdzie, że trzeba coś opracować/zbadać, bo to nie jest jeszcze zrobione<sup>23</sup>.

Nie ma żadnego problemu, aby zrewanżować się Sikorskiemu za donosy do czytelnika, czego to ja nie cytuję (bo nie znam) i wymienić kilkadziesiąt prac, o których nie słyszał Sikorski. Jeszcze łatwiej byłoby głosić, że winno się je znać. Przywoływania, analizy, opinie na temat twórczości Le Roy Laduriego i Ginzburga to nieprzeliczalna liczba możliwości. Co to za problem byłoby napisać, że np. Sikorski widocznie nie zna innych prac Le Roy Laduriego, które w kontekście jego całościowej oceny Montaignou wydają się nie do pominięcia. Choćby np. tylko *Les Paysans de Languedoc* czy późniejsze *Le Carnaval de Romans*. Przecież ich Sikorski nie wymienia, a wedle niego oznacza to, że nie zna. A prace innych autorów gatunku, czy dotyczące tej problematyki, z dziejów herezji, historii agrarnej, *etc., etc.*? W zasadzie nie da się ich policzyć i łatwo wskazać, że dla pełnego obrazu twórczości, zarówno po stronie genezy, jak i *ex post* powziętych interpretacji twórczości legendarnego francuskiego historyka, nie sposób pominąć.

Nie mówię już o tym, iż łatwo wskazać elementarne prace z obszaru teorii poznania historycznego, których przeczytanie ze zrozumieniem mogłoby spowodować, że ilość niedorzecznych sądów, jakie wypowiada Sikorski, uległaby zmniejszeniu. Skoro je według mnie popełnia, to dzieł tych nie zna<sup>24</sup>.

---

<sup>23</sup> Idea ta jest fundamentalnie przeciwna historii problemowej, wspiera zaś hasła historii deskryptywnej i realizm naturalny, skrajnie prostolinijne wyobrażenia nauki. To takie szczególne wcielenie „całościowej analizy” Sikorskiego.

<sup>24</sup> Można by sporządzić specjalny tekst wskazujący, jakich prac Sikorski nie zna. „Kwartalnik Historyczny” powinien zgodzić się na tę propozycję, skoro godzi się na refrenowe nawroty tej praktyki serwowane przez niego. Publikuje się, jak widać, teksty zamieszczające wykazy literatury jakoby nieczytanej przez kogoś. Może warto uruchomić specjalny dział? Wiem, że z pozycji demagogicznego dogmatyka szkoły metodycznej będzie łatwiej to zrobić, bo można dla tego zajęcia łatwo znaleźć stosowną motywację pozytywną, ale mimo że brak mi ochoty na robienie czegoś tak bezmyślnego, to przecież podobne teksty można by śłać do każdego numeru.

## Made in USA

Sikorski oferuje na przekór moim skłonnościom do szukania początków antropologii historycznej w tradycji myśli francuskiej, w tym francuskiej historiografii, opcję angloamerykańską, bo „bliższa doświadczeniom i praktyce amerykańskiej antropologii historycznej jest próba uchwycenia jej istoty przez E. Domańską” (s. 490). Mam się zwrócić ku pewnemu rozumieniu genezy antropologii historycznej, bo bliższa doświadczeniom i praktyce amerykańskiej antropologii historycznej jest inna interpretacja? Wolne żarty. Wolałabym argument odwołujący się do tej tradycji, mówiący o tym, że jest ciekawa, wraz z wyjaśnieniem, dlaczego jest ciekawa. A nie dlatego, że jest bliższa amerykańskiej. A niech sobie będzie bliższa amerykańskiej. Czy wówczas jest lepsza, bo jest bliższa amerykańskiej? A może dlatego mam ją uwzględniać, bo jak dalej stwierdza Sikorski, Amerykanie nazwali mistrzami antropologii historycznej tych, których nazwali? Czyżby? Rozbrajający argument, tym bardziej że już dalej ani słowa o konkretach: ani Geertzowskiego rozumienia kultury, ani tego, którzy to antropologowie i historycy okrzyknęli bohaterów moich analiz metodologicznych mistrzami antropologii historycznej i dlaczego<sup>25</sup>. Wiadomo, że jest to koncepcja różna od koncepcji mojej i że jest amerykańska. Tyle jest tu w tej konkurencyjnej idei „istoty” antropologii historycznej do zaferowania. I jeśli nawet ona gdzieś jest, to muszę o niej pisać wtedy, gdy nie znajduję dla niej merytorycznego zastosowania? Tylko dlatego, że istnieje? Mam ją przeto przepisywać lub referować? Jeśli jest, to dobrze.

Sądzę, i nie ja jedna, że ani ona, tj. antropologia historyczna, tam w Ameryce nie powstała, ani nie powstała tam, gdzie pisał Geertz, raczej tam, gdzie Durkheim, Lévy-Bruhl, Lévi-Strauss...

Ani lektury Ginzburga do czasów *Il formaggio e vermi*, ani też lektury Le Roy Laduriego do czasów *Montaillou* nie dowodzą, aby inspirowali się oni, i antropologia historyczna europejska także, amerykańskim „przewrotem w rozumieniu kultury” dokonany jakoby przez Geertza. W rekonesansie antropologicznym moich dwóch historyków nie dostrzegam motywów amerykańskiego „przewrotu w rozumieniu kultury”. Potrzebne mi było tło dla konkretnego rekonesansu i europejskiej tradycji związku historia/antropologia zdradzającego antropologię historyczną.

Sikorski oferuje bez namysłu cały zespół tekstów zawierających jakoby definicje (*sic!*) antropologii historycznej (patrz s. 491, przyp. 17), przyjmu-

---

<sup>25</sup> Przesłanką owej genezy amerykańskiej dla fenomenu antropologii historycznej jest to, że Amerykanie nazwali niektórych Francuzów mistrzami. Co ma z tego wynikać? To jest argument rzeczowy?

jąc, że *ethnohistory* to zawsze to, o co chodzi w antropologii historycznej. Z pokaznej listy prac, jakoby zawierających definicje z tego kręgu językowego, wydobywa unikającego rozumienia antropologii historycznej jako odrębnego od historii społecznej nurtu badań Petera Burke'a, przytacza opinię Arona J. Guriewicza<sup>26</sup> oraz Bernarda S. Cohna o tym, że przedmiot badań antropologii i historii jest ten sam, w tekście z roku 1980. (Nie dziwota, że wtedy tak sobie on myślał: *why not?*). Jeszcze u narodzin nurtu antropologii historycznej mógł sobie tak myśleć. Ja, dla przykładu, uważam, że „przedmiot badań” wszelkich nauk o człowieku jest ten sam co przedmiot badań nauk o kulturze, *and so on?*

To jest przykład, jak Sikorski stosuje literaturę przez siebie cytowaną. Nic z niej dla tekstu recenzji nie wynika poza stwierdzeniem, że jest np. *made in USA*.

### Wyznania niepojętnego interpretatora

Stałym motywem recenzji Sikorskiego jest odruch odwoływania się do faktu, że czegoś nie jest w stanie dostrzec, nie może zrozumieć, nijak pojąć. Oto cztery przykłady takich eksklamacji:

„Ale — jak sądzę — ani z treści analiz K. Polasik, ani na podstawie własnej lektury obu książek czytelnik nie jest w stanie, w oczywisty sposób, zrekonstruować — nawet na swój użytek — głównych cech antropologii historycznej” (s. 487). Jak zwykle, pokrętna stylistyka. W imieniu czytelnika — a przecież bez jego upoważnienia, zamiast jedynie i tylko w swoim imieniu — wyznaje Sikorski, że „nie jest w stanie”, „w sposób oczywisty” „zrekonstruować na swój użytek”. Co to znaczy „w sposób oczywisty zrekonstruować”? „Na swój użytek”? Nadto może trzeba zrekonstruować w sposób „nieoczywisty”, bo materia jest nieoczywista, wtedy może coś z tego wyjdzie „na „swój — jego — użytek”? Czy są to kategorie z arsenału retorycznego metody i krytyki historycznej? Jest tu jakieś meritum, czy tylko emocjonalny rozgardiasz krytykanta?

W innym miejscu Sikorski donosi czytelnikowi, jakie mam problemy: „Nie tylko K. Polasik ma problem z wykazaniem, na czym miałyby polegać antropologizacja historii” (s. 489). Skąd insynuacja, że ja mam problem ze

<sup>26</sup> Może dlatego A. Guriewicz reprezentuje opinię amerykańską, bo był raz w Stanach Zjednoczonych na przełomie 1988/1989 r., a może dlatego, że przyjaźnił się z Nathalie Zemon Davis, afirmował jej badania i napisał artykuł o *Wielkiej masakrze kotów R. Darntona dla Zeszytów Tartuskich*; może dlatego, że wydał w 1992 r., w Cambridge Polity Press, książkę z antropologią historyczną w tytule i w 1990 r. w Japonii z antropologią historyczną w tytule, a przecież Japonia prowadziła ze Stanami Zjednoczonymi wojnę na Pacyfiku, więc... itd., itp.

wskazaniem, czym jest antropologia historyczna? Nie mam tego problemu. Może tym razem powołam czytelnika „Kwartalnika Historycznego” na świadka i może po przeczytaniu stosownych fragmentów mojej książki okaże się, że to Sikorski ma problem? To frazeologia, która niczego merytorycznego nie wnosi.

Po trzecie: „Jednak czytelnik znający tę pracę i jednocześnie znający inne dzieła zaliczane do historiografii klasycznej (tradycyjnej) nie odnajdzie żadnej różnicy” (s. 492). Znowu zaskakująca głośłowna pewność w imieniu czytelnika. Czyżby? Przecież sam Sikorski donosi, że „obie prace za antropologiczne uchodzą” (s. 508). A więc istnieje jakiś czytelnik/analytyk, i to nie jeden, który odnalazł różnicę między pracą standardowo historyczną a tą z antropologii historycznej, skoro „obie prace za antropologiczne uchodzą”. Po co ta bezmyślna alogiczność?

„Po uwzględnieniu wszystkich wątpliwości warsztatowych wobec obu prac historyk — dodajmy, tradycyjnie wykształcony — nie zauważy w nich owej dodatkowej wartości, mającej się ujawnić przez zastosowanie antropologicznej perspektywy, która jest bardziej deklaratorywna niż rzeczywista” (s. 508) — głosi Sikorski<sup>27</sup>.

Co upoważnia Sikorskiego do twierdzenia, że ta perspektywa (antropologiczna) jest deklaratorywna? Le Roy Ladurie? Ginzburg? Sikorski podkreśla przecież, że Le Roy Ladurie nic w tej kwestii nie deklaruje (s. 499). Więc kto ją deklaruje, skoro jest „deklaratorywna”? Ja? Owszem, mogę, co czynię, nie będąc w tym odosobnioną. Jednak chyba nie deklarować, ale raczej interpretować *Montaillou* i połowę lat siedemdziesiątych XX w. jako symboliczny początek nurtu badań zwanego później antropologią historyczną lub *la nouvelle histoire* w sensie wąskim (mówił o tym Le Goff w 1989 r. w Moskwie — w obecności tuzów historiografii francuskiej)<sup>28</sup>.

Ja oczywiście mogę tak sądzić, ale czy wówczas powiadamy, że deklaruje? Deklaruję w imieniu czy zamiast? Ja jedynie — i to niezbyt odkryw-

<sup>27</sup> Ilość opinii, która falsyfikuje tezę, że „tradycyjnie wykształcony historyk nie zauważy w nich dodatkowej wartości” jest nieprzeliczalna. Przecież to ewidentny fałsz. Literatura światowa na temat tych dwóch prac, o ich ważności wspominająca, jest ogromna. To są standardowe prace dla historiograficznych interpretacji. Większość z nich to opinie dostrzegające ich „dodatkową wartość”. Opinia Sikorskiego wskazuje na zaślepienie złymi emocjami. Trudno to inaczej tłumaczyć. Dowolna liczba negatywnych opinii nie zmieni okoliczności, że istnieje dowolna liczba opinii diametralnie przeciwnych. To już falsyfikuje skrajnie pochopną (i dlatego łatwo falsyfikowalną) tezę. Sam ją zresztą zanegował Sikorski, kiedy napisał choćby: „obie prace uchodzą za antropologiczne” (s. 508).

<sup>28</sup> Ж. Ле Гофф, „Анналы” и „новая историческая наука”, в: Споры о главном. Дискуссии о настоящем и будущем исторической науки вокруг французской школы „Анналов”, ред. Ю. Л. Бессмертный, Москва 1993, s. 191.

czo – chcę ukazać, na swój sposób, JAK ów antropologiczny – mój podtytułowy – rekonesans zaistniał i jak ja go widzę. Faktu, że pojawiło się to zjawisko, nie odkrywam ani nie deklaruję.

Z kolei w innym miejscu Sikorski, jakby wczoraj poznał sens kultowego, acz nieco już przestarzałego, odwoływania się do Pana Jourdaina, suponuje, że gdyby Le Goff wiedział, że jego badania reprezentują styl myślenia zwany już antropologią historyczną, to zadekretowałby to.

Rzecz widzę inaczej. François Dosse wypowiada opinię, która angażuje opinię Le Roy Laduriego, wyrażającą z kolei moje stanowisko. Wprawdzie mowa o strukturalizmie, ale proces w odniesieniu do antropologii historycznej jest – wedle mnie – analogiczny: „L'historien selon Emmanuel Le Roy Ladurie, fait du structuralisme consciemment, ou sans le savoir comme Monsieur Jourdain: «Depuis près d'un demi-siècle, de Marc Bloch à Pierre Goubert, les meilleurs historiens français, systématiquement systématiseurs, ont fait structuralisme en connaissance de cause, ou quelquefois sans le savoir, mais trop souvent sans que ça se sache»”<sup>29</sup>.

Tak to właśnie bywa. Raz historycy identyfikują się z wyłaniającymi się nurtami, innym razem nie, a czasem zostają w zgodnej opinii innych, po latach, jej klasykami. Jeśli później przez innych twórczość Le Goffa kwalifikowana jest jako reprezentująca antropologię historyczną, to bywa, że nie oponuje on przeciwko temu. Nie sposób przytaczać tu danych, są zbyt liczne. Wystarczy, jak widzą miejsce jego twórczości wspierani przez niego autorzy odpowiednich rozdziałów w serii wydawnictwa *La nouvelle histoire*.

Zdaniem Sikorskiego Le Goff, ponieważ nie deklarował w *Naissance du Purgatoire* z 1981 r. swej przynależności do nurtu antropologii historycznej, to nie identyfikował się z taką postacią historycznego badania. Dodam, że w tej pracy nie deklarował, ale pięć lat wcześniej swoje seminarium wiązał z tą dyscypliną historyczną. W roku 1976 Le Goff przemianował swoje seminarium w École des hautes études en sciences sociales z dotychczasowego: „Histoire et sociologie de l'Occident médiéval” na „Anthropologie historique du monde médiéval”. To oczywiście jest powód dla Sikorskiego, aby sądzić, że tak jak Pan Jourdain mediewista francuski nie wiedział, że mówi prozą.

O tym, czy Jourdain mówi prozą, nie decyduje on sam i to, czy wie, że mówi prozą, lecz ci, którzy stosują rozróżnienie np. na prozę i poezję i to, czy w ogóle uważają, że owo rozróżnienie do czegoś jest w ogóle potrzebne. Molier chciał, aby Jourdain nie wiedział, że mówi prozą, i aby

---

<sup>29</sup> Ch. Delacroix, F. Dosse, P. Garcia, *Les courants historiques en France. 19<sup>e</sup>-20<sup>e</sup> siècles*, Paris 1999, s. 199; E. Le Roy Ladurie, „L'histoire immobile”, *Leçon inaugurale au Collège de France, 30 novembre 1973*, w: idem, *Le territoire de l'historien*, t. 2, Paris 1978, s. 11.

widz cieszył się z faktu, że oto „tak istotną wiedzę” o języku sam posiada (lub nawet jeśli dopiero ją posiadł, aby tak się czuł), a ów Jourdain z ponadklasowymi pretensjami nie.

I kim oto w tym zestawieniu w odniesieniu do sceny z Moliera miałby być np. Le Goff? Wedle Sikorskiego — Panem Jourdain, a Molierem — ja. Zgoda, ale Sikorski, sądzi, że nie można mówić prozą, gdy się nie wie, że to proza. Uważa on, że aby uprawiać antropologię historyczną, trzeba znać nazwę tego, co się robi. I tu się różnimy, zgadzam się z Molierem, że można nie wiedzieć, że się mówi prozą, i być wspaniałym prozaikiem. Inną rzeczą jest, czy jest się wspaniałym prozaikiem, czy nie (s. 489).

W kwestii powracających motywów Sikorskiego o niezrozumieniu tego i tamtego: podkreślanie, że się czegoś nie rozumie, nie musi być pojmowane — jak chce Sikorski — jako zarzut wobec nierozumianego autora, tekstu, koncepcji... Za przierzucaniem na autora wypowiedzi winy za jej nierozumienie stoi odruch myślenia nieakademickiego. Mentorska przesłanka takiego myślenia brzmi: skoro ja nie rozumiem, to pewnie autor ten błądzi, kręci lub myli się.

Gdyby tak było zawsze, to nie byłoby szansy na sytuację, w której czytelnik może być nieprzygotowany do lektury. Adept nie miałby szansy doganiać mistrza; nie uczyłby się, tylko zajmował utwierdzaniem we własnych poglądach. Uczeń oczekiwałby, że mistrz sprowadzi swoje myślenie, z reguły bardziej zaawansowane, złożone, nazwijmy je „wyższym”, do zastanej świadomości adepta, tj. do myślenia mniej zaawansowanego; na razie, jako adepta, *ex definitione*, „niższego”. Sikorski okoliczność swego niezrozumienia „z góry” bierze za wadę tego, co ma on rozumieć. W trybie retoryki mentorskiej — dla mnie bezpodstawnie przyjętej w sytuacji domeny mu obcej — sugeruje, że wszystko, z czym się styka, musi być dla niego zrozumiałe. Inaczej mówiąc, mimo że katolik, to po wejściu do meczetu dziwi się, że nie rozumie, i dziwi się, że nie jest tak, jak w przybytku jego wiary. Mimo że wiele go zaskakuje i dziwi, to nie wpadnie jednak na to, że sam stawia się w pozycji dziwaka, kiedy dziwuje się, bo sam nie pojmuje, choć inni przeciwnie<sup>30</sup>.

<sup>30</sup> W przypadku Sikorskiego mamy do czynienia jednocześnie z „niezrozumieniem radykalnym” i „niezrozumieniem technicznym” moich wywodów (i metarefleksji nad historią). Sikorski nie rozumie pytania, jakie sobie stawiam (niezrozumienie radykalne), i tym samym także odpowiedzi, jakiej udzielam (niezrozumienie techniczne). Jak już wspominałam, zamiast mojego pytania (celu) podstawia swoje, moje odpowiedzi nie są więc odpowiedziami na jego pytania, co powoduje, że ich nie rozumie, wydziwia więc nieustannie. Zob. J. Kmita, *Późny wnuk filozofii. Wprowadzenie do kulturoznawstwa*, Poznań 2007: „zarówno radykalna, jak i techniczna niezrozumiałość tekstów naukowych jest w zasadzie usuwalna. Mianowicie jest w stanie usuwać ją profesjonalizacja: nabycie stosownych kompetencji” (s. 184).

A może Sikorski powinien sam dostrzec się w grupie tak przez siebie opisywanej: „większość badaczy jest zupełnie obojętna wobec kwestii wpływów antropologii na historię m.in. dlatego, że sam problem nie jest im znany, a jeśli już, to go nie rozumieją lub rozumieją opacznie” (s. 485).